

MERRY CHRISTMAS, MISTER LAWRENCE

Pokój redakcyjny gazety, stary poczciwy zegar na ścianie wskazuje godzinę siódmą, za oknem półmrok - słońca australijskiej zimy. W drzwiach trzaska zamek, wchodzi dwaj mężczyźni i kobieta, zapalają światła, rozlewa się po sprzętach mdlawa półjasność łysych żarówek na gołym drucie u sufitu. Cztery stare biurka, sinożółte komputery, starodawne telefony, jeden z pierwszych faksów, jaki wydała ludzkość, blaszana szafa zamykana na kłódkę. Tutaj toczy się polonijne życie. Zdawać by się mogło, że to Prus, Sienkiewicz i Orzeszkowa przyszli do pracy.

- Zimno jak nie wiem - mówi kobieta, lecz zdziewa jesionkę i wiesz ją na gwoździu na ścianie. Jej twarz przebiega dreszcz. Chucha w dłonie. Z oczu patrzy jej anielska dobroć, matczyzna miłość, pokora. Po chwili wyjmuje z torebki paczkę papierosów, zapala, kaszle, kaszle raz jeszcze. Dobroć spojrzenia zmienia się na moment w bolesne cierpienie - od lat męczy ją astma.

- Zimno, zimno - zgadza się z kobietą wyższy z mężczyźni. Obok jesionki wiesz dzinsową kurtkę na misiu. Nie chucha w dłonie, nie zapala papierosa - palenie tytoniu może być przyczyną wielu groźnych chorób. Siada przy biurku, przymyka powieki, oddala się w ciszę medytacji. Siła ludzkiej woli. Nic tak nie grzeje ciała jak siła ludzkiej woli.

- Zimno, zimno - potwierdza niższy z mężczyźni. Nie zdejmuje kożucha, siada za biurkiem, rozchyła usta, oddycha głęboko, ma ładne białe zęby, z ust ulatnia się para. - Pani Tereso, poproszę o herbatę. Panie Staszku, koniecznie musimy dzisiaj skończyć czwartą stronę.

„Czwartą stronę! Czwartą stronę! Panie Staszku! Panie Staszku!”, przedrzeźnia w myślach szefa pan Staszek. „Piąta strona, szósta strona, siódma strona! Strona za stroną, strona po stronie! I hate this bastard! Oh, how I hate this bastard!”, myśli, lecz głośno odpowiada: - Już się robi, szefie! Tylko dokończę moich porannych medytacji.

- A kończ pan, byle szybko - mówi szef, po czym myśli: „Z kim ja muszę pracować! Na co mi to było? Ojciec zawsze powtarzał, żeby nie pchać się na świecznik. Patrz, Rysiu, powiadał, cicho pojedziesz, daleko zajedziesz.”

Pani Teresa kiepuje papierosa w popielniczce, wstaje, podchodzi do parapetu okna, nastawia wodę. - Panie Staszku, panu też herbaty?

- Też! - krzyczy pan Staszek, ledwo co panując nad nerwami. - „No nie dadzą dokończyć medytacji! Od dziesięciu lat zadaje co rano to samo głupie pytanie! Oh, how I hate this woman!”, myśli i powraca do swych Wschodnich praktyk.

Wtem młoteczek zaczyna stukać w dzwoneczki w telefonie na biurku pana Rysia. Pan Rysio patrzy na zegar na ścianie: siódma zero siedem. „Jezu, zaczyna się! Dzwonią! Dzwonią! Dzwonią! Ja już nie mam siły!” - Dzień dobry, redakcja gazety się kłania. Czym mogę służyć?

- Co wy tam, bladź taka i owaka, w mordę kopana, w kółko golona, w ryj i w plechy, scyzoryki robicie w mojej gazecie?! Co to są za porządki? Co to za burdel?! - krzyczy

męski głos w słuchawce. Pan Rysio zakrywa słuchawkę dłonią i mówi półszepsem do pani Teresy: - To Osiński. Znalazło się to jego pianino?

Pani Teresa zaprzecza niepewnym ruchem głowy. Boi się szefa i starego Osińskiego. Boi się wszystkich. - Nie znalazło się!

- A to klops - sumuje pan Rysio, odyka słuchawkę i do słuchawki mówi: - Dzień dobry panu, panie Osiński. Jak zdrowie? Jak szanowny pan dzisiaj się czuje?

- Jagielski, wy mi tutaj nie maglujcie o zdrowiu! Gdzie moje pianino?! Pianino nie igła w stogu siana! Coście zrobili z moim pianinem?!

- Szukamy, panie Osiński, szukamy i mamy już pewne, że tak powiem, tropy...

- Jakie trophy? Moje pianino to jest trophy! Na wojnie je sobie znalazłem! Oddajcie mi moje pianino albo inaczej porozmawiamy! Ja was ostrzegam, Jagielski, wy mi za to przed sądem odpowiecie! Macie czas do południa! Stawiam ultimatum! Albo albo!

- No niech się pan tak nie denerwuje... Znajdzie się. Tymczasem wydrukujemy pana artykuł, na pierwszej stronie.

W słuchawce zapada cisza. Stary Osiński najwidoczniej myśli. Pan Rysio zatyka słuchawkę i zwraca się do pani Teresy: - Złapał haczyk. - Pani Teresa oddycha z ulgą, to znaczy wzięwszy pod uwagę uciążliwość jej astmy. Pan Rysio odsłania słuchawkę i czeka. Stary Osiński w dalszym ciągu milczy, po czym odzywa się z niedowierzaniem w głosie:

- Który artykuł? Ten o powrocie samolotów o śmigłach, w którym postawiłem śmiałą tezę, że już niedługo nikogo nie będzie stać na latanie odrzutowcem?

- Nie, nie ten. Ten wydrukujemy z okazji Dnia Lotnictwa.

- Ten o tym, jak na Sybirze rzuciłem palenie?

- Nie, nie ten. Ten wydrukujemy z okazji Dnia Sybiraka.

- Ten o tym, jak postawiłem historyczną tezę, że w Jałcie Polska uratowała świat od komunistycznej, żydowskiej, hitlerowskiej zagłady?

- Nie, nie ten...

- To który, do ciężkiej cholery? Pytam się, który?!

- Ten o zawleczkach.

- Yes, yes! Wiedziałem! Od razu wiedziałem! To znaczy, że zgadza się pan redaktor z tezą, że angielskie zawleczki w granatach były lepsze od sowieckich?

- Oczywiście, panie Osiński, oczywiście, że się z panem zgadzam. Przystudiowałem w tym celu liczne materiały źródłowe...

- To niech mi pan powie jasno i otwarcie. Ja chcę usłyszeć prawdę!

- Angielskie zawleczki były lepsze od sowieckich.

- Święta prawda, panie redaktorze! Były, były lepsze. I niech mi ktoś teraz powie, że nie były, to stanie przed sądem! Da mi pan to na piśmie?

- Panie Osiński, wydrukujemy pana artykuł.

- Ale czy da mi pan na piśmie to, co pan powiedział o zawleczkach?

- ...i wydrukujemy pana rysunek granatu.

- Kiedy?

- Niedługo, niedługo, panie Osiński. Niech pan uzbroi się w cierpliwość.

- Tak jest! Uzbroić się! Stać w pogotowiu! A to pianino to mi pan znajdzie, nie?

- Znajdziemy, znajdziemy. Do widzenia, panie Osiński.

- Do widzenia! Niech żyje Polska!

- Niech żyje Polska! - pan Rysio odkłada słuchawkę. W tej samej chwili pani Teresa stawia przed nim na biurku szklankę z herbatą. Pan Staszek siedzi z zamkniętymi oczyma. Pan Rysio mówi: - Co z tą czwartą stroną? Niech pan puści ten tekst o zawleczkach.

Pan Staszek, choć niechętnie, powraca siłą woli do redakcyjnego pokoju i mówi: - Przecież miało być o faszystach.

- Proszę zmienić. Faszyści mogą poczekać.

- Ale Studziński obiecał, że jak mu faszystów wydrukujemy, to da dotację na rozwój gazety, dwieście dolarów, i kupi dziesięć egzemplarzy ze swoim artykułem.

- Prawda, prawda. Zapomniałem... Pani Tereso, niech pani zadzwoni do Studzińskiego i powie mu, że mamy przecieki z sowieckiej ambasady, że szykują ofensywę propagandową przeciwko Polonii. Dlatego musimy puścić kontrofensywę w postaci artykułu o zawleczkach. Ojczyzna wzywa!

Pani Teresa bez zwłoki podchodzi do telefonu na swoim biurku, z pamięci wykręca numer i po chwili mówi: - Pan Studziński? Przepraszam, że budzę o tak wczesnej porze, ale...

- Nie spałem, nie spałem! - odpowiada głos starszego pana. - Robiłem nasłuch! Do sąsiada Niemca przywieźli wczoraj jakieś skrzynie. Cała ulica czuwa. Kazałem rozstawić czujki.

Podejrzewam, że szwab organizuje siatkę Wehrwolfu. Na wojnie był w Wehrmachcie!

- Panie Studziński, mam złe wiadomości... Mamy przecieki z sowieckiej ambasady, że szykują ofensywę na naszą gazetę. Ojczyzna wzywa!

- Rozkaz! Zaraz do was przybywam! Czy mam wdziać mundur?

- Nie trzeba, nie trzeba. Chodzi tylko o to, że potrzebujemy pana zgody na to, by opóźnić druk o tych pana faszystach z Brisbane.

- Tak jest! Zdekonspirowałem psubratów! Faszyści infiltrowali zarząd Stowarzyszenia imienia Jana Pawła II, rękami Polaków-katolików, za pieniądze Żydów! Tak jest!

Ujawniłem spisek! Trzeba zlikwidować prezesa i szefa kuchni!

- Tak bardzo pana proszę... Uwaga, uwaga, nadchodzi... Wróg w każdej szafie! Czuwaj!

Zdrada! Pepesza! Ra-ta-ta-ta-ta! Ra-ta-ta-ta-ta! - strzela z ust pani Teresa. - Potrzebujemy wsparcia ogniowego! Proszę o rozkazy!

- Tak jest! Wstrzymać artykuł o faszystach! - krzyczy pan Studziński. - Zaatakować sowietów!

- Wypalimy sowietom z zawleczek do angielskich granatów! Artykuł napisał pan Osiński.

- Kto? Kto? Osiński z Perth? Po moim trupie! Nie zgadzam się! Osiński pracuje dla faszystów!

- To prawda, panie Studziński, ale przeciwko sowietom. W polityce nie ma prawdziwych przyjaciół. A pan jest nie tylko dzielnym żołnierzem, ale i wytrawnym politykiem, prawda? Niczym generał Sikorski! Marszałek Piłsudski! Tadeusz Kościuszko! Ojczyzna potrzebuje pana mądrości!

- Precz z sowietami! Precz z faszystami! Precz z prezesem i szefem kuchni! Precz z Osińskim! Precz z Żydami! Precz ze wszystkimi! Pan Studziński nie da się oszołomić!

- A co z Arabami?

- Z Arabami? Z Arabami też precz!

- Dziękuję panu, panie majorze. Staął pan na wysokości zadania!

- Kapitanie, kapitanie, pani Tereso. Proszę mnie nie przeceniać.

- Do widzenia, życzę udanego nasłuchu.

- Ach, tak. Zapomniałem. Te podejrzane skrzynie... Może to Enigma? Już wracam na stanowisko. Gdzie moja lornetka? Do widzenia. Niech żyje Polska!

- Niech żyje - odpowiada pani Teresa i kładzie słuchawkę na widełkach. Zapala papierosa, kaszle, kaszle raz jeszcze. Moczy usta w herbacie, z ust i ze szklanki ulatnia się para. -

Załatwione - zwraca się do szefa. Szef patrzy w małe ręczne lustro i wyciera ładne białe zęby do sucha. Pan Staszek medytuje.

O siódmej siedemnaście dzwięczy aparat faksu i rozwija się rolka papieru. Pani Teresa podchodzi bliżej i czyta, po czym kładzie papier przed panem Rysiem i mówi: - Kolejny anonim. - Pan Rysio czyta: „Meldunek numer 112/2005, w miejscu postoju, ściśle tajne. Wczoraj w godzinach wieczornych zaobserwowano kucharkę nazwiskiem Julia Cebrzyńska, z klubu w Bondi Beach, jak po wyjściu z pomieszczeń kuchni personelu wyjęła coś z chłodni i wsadziła to coś do dużej torby koloru zielonego, raczej khaki. Następnie wyrzuciła torbę za okno, gdzie torba leżała dwie minuty i szesnaście sekund. Wywiadowca wyszedł z krzaków i ustalił, że w torbie były ukryte kielbasy, dwie długie krakowskie i jedna krótka zwyczajna, choć dość mocno pikantna w smaku. Następnie wywiadowca ukrył się na powrót w krzakach i obserwował kucharkę w kuchni jednym okiem oraz torbę drugim. Po dwóch minutach i szesnastu sekundach do torby zbliżył się niezidentyfikowany osobnik płci męskiej, otworzył torbę, przegryzł jedną z długich kielbas na środku, obie połówki schował do dwu kieszeni spodni, zabrał torbę i zniknął w ciemności. Wywiadowcy nie udało się ustalić personaliów ani adresu postoju podejrzanego, ale jedno jest pewne: miał ładne białe zęby, zupełnie jak pan redaktor naczelny. W związku z tym ostrzegam: albo wydrukujecie mój artykuł, albo sprawa trafi na policję! Wybór należy do szanownej redakcji. Podpisano: podpułkownik „Groźny”. Ps. Artykuł nadesłałem dwadzieścia siedem razy, za każdym razem używając nie oznakowanych niebieskich kopert.”

Pan Rysio wrzuca papier do kosza pod biurkiem i powiada: - To chyba jakiś wariat.

Pani Teresa powiada: - To ten sam, co w zeszłym roku straszył, że założy konkurencyjną gazetę i puści nas... - nie kończy, gdyż terkocze telefon.

- Redakcja gazety się kłania - mówi pan Rysio, zamykając pokrywkę lusterka.

- Kurwa jego mać! - krzyczy męski głos. - Wy szakale, hieny, żydy skończone, brudasy, wrzody, karaluchy, smrody w gaciach! Kurwa, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam! Zbuki, syf z malarią, mamałygi! Złodzieje, oszuści, skurwysyny zawszone! - I ciska słuchawką.

Pani Teresa, widząc zaskoczoną minę szefa, który odsunął słuchawkę od ucha na pewną odległość i czeka w bezruchu, pyta: - Kto to?

- Naprawdę nie wiem... Idę się przejść do kiosku po gazetę.

- Niech pan nie odchodzi! Próbował pan medytacji? - pyta pan Staszek.

- Może papierosa? - pyta pani Teresa.

- Poprzedni naczelny siedział tutaj jak pan, za tym biurkiem, tylko że kolana miał na karku, uprawiał jogę - dodaje pan Staszek z pewną satysfakcją.

- Nie, dziękuję, wolę spacer - odpiera pan Rysio i myśli: „Że też muszę z nimi pracować! Medytacje, medytacje, papierosy, papierosy. Jeden zwinny jak małpa, druga kurzy jak smok na Wawelu. Codziennie to samo. Że też nie słuchałem ojca... „ - I wychodzi na korytarz, by udać się po gazetę, by odpocząć.

- A może znajdzie pan jakieś hobby? - krzyczy w panice pani Teresa. - Jeden weterynarz uprawia po pracy chirurgię plastyczną - przerabia jamniki na wilczury!

- Mój kolega - krzyczy pan Staszek - był tak sfrustrowany wędkarstwem, że ze złości utopił szczupaka! Teraz jeździ na ryby bez wędki i topi wszystko, co się w wodzie rusza.

Lecz pan Rysio już nie słucha, zamyka drzwi, odwraca się plecami i nagle spotyka idących po schodach do redakcji dwoje petentów. Zawodowych petentów, zna ich od roku, odkąd zgodził się tu pracować - Woźniak i Woźniakowa, te same pretensje, te same żądania, wieczne niezadowolenie, wieczna frustracja. Frustracja! Frustracja! Frustracja! Nim się opamiętał, mówi: - Czego znowu? Jest siódma trzydzieści! Spać nie możecie?

- My właśnie w tej sprawie, panie redaktorze... - zaczyna Woźniakowa, wieszając się panu Rysiowi na szyi, całując w policzki. Pan Rysio odstawia ją na podłogę, stukają obcasy. Woźniakowa ciągnie: - Pan to jak jakiś jasnowidz, wszystko wie, zaczym człowiek gębę otworzy. My spać nie możemy. Dawniej to my Radia Maryja słuchali, tak pięknie mówili, ach, jak pięknie. Ale tera to nam radio uciekło. Gadają ludzie, że Moskwa zagłusza. Prawda to, panie redaktorze? To już radia bożego nie będzie?
- Będzie, będzie. Pogoda dżdżysta, to radio słabo odbiera.
- Co?
- Radio słabo odbiera.
- Co odbiera?
- Radio!
- Co, radio?
- Radio słabo odbiera!
- Wiem przecież. Ponoć Moskwa zagłusza. Czy to prawda?
- Prawda, zagłusza. Niech pani napisze list w tej sprawie, to wydrukujemy. Może inni też nie słyszą, sprawa wagi społecznej.
- Jakiej wagi?
- Do widzenia. Niech żyje Polska! - pan Rysio schodzi dwa stopnie, gdy słyszy głos Woźniaka:
- Pan redaktor kazał list pisać. Ale o czym? Nie dosłyszałem.
- O jakiejś wadze...
- Poprośmy go, to może nam podyktuje. Młody, kształcony, lżejszą ma rękę do pióra.

Ale pan Rysio jest już na ulicy, siąpi i siąpi, dżdży i dżdży, chlapie i chlapie. „Uwielbiam ten spokój. Usiądę za chwilę w kawiarence u poprzedniego naczelnego, zamówię kawę, poczytam jakąś angielską gazetę...”, myśli tak i idzie przed siebie, oby jak najdalej, oby jak najdłużej.